

A na wschodzie bez zmian...

Kłopot z pisaniem o wojnie na Ukrainie polega na tym, że u początków trzeciego roku jej trwania, należałoby powtórzyć to wszystko, co było już tak samo jasne przed rokiem, jak i przed dwoma laty. I to pomimo oczywistości, iż w materii politycznych i wojennych wydarzeń tak wiele wydarzyło się przecież w ciągu ostatnich dwóch lat.

Wielkie międzynarodowe konflikty toczą się zawsze w jakichś w miarę sztywnych dziejowych ramach, wyznaczanych przez takie czynniki, jak układy geopolityczne, stosunki władzy i siły, czy dominujące ideologie. I tylko czasem zdarza się tak, że gwałtowna odmiana tych czynników rozsadza owe dziejowe ramy, wywracając do góry nogami coś, co można by nazwać mianem „historycznego paradygmatu”. Tak zdarzyło się niegdyś podczas I wojny światowej, gdy deus ex machina zaczęły się od środka rozpadać jednocześnie aż trzy wojujące ze sobą mocarstwa, a czwarte – dotąd izolacjonistycznie milczące, postanowiło dokonać pierwszej w swoich dziejach egzotycznej inwazji poprzez ocean. No i nagle wszystkie ramy, wyznaczające dotąd możliwości i dający się pomyśleć wynik wojny, zostały rozsadzone, a w efekcie wojna zrodziła całkiem nowy świat.

Rzecz jasna, przeciągające się wojny sprzyjają, bardziej niżli zwyczajny stan pokoju, takim dziejowym wywrotkom. Ale to, że sprzyjają, nie znaczy wcale, aby owe wywrotki uznać za regułę takich wojen, nawet wtedy, gdy są one bardzo krwawe i bardzo przewlekłe. Konflikt

żydowsko-arabski na Bliskim Wschodzie jest tego najlepszym współczesnym przykładem. Z perspektywy mojego pokolenia wydaje się to niemal wojna wieczysta, albowiem Bliski Wschód był w ogniu gdy przychodziłem na świat (trzy lata po inwazji Kanału Sueskiego), no i jest tak samo, albo i jeszcze bardziej w ogniu dzisiaj. I jak słuchać polityków próbujących sformułować jakieś projekty przerwania tej wojny, to staje się jasne, iż od niepamiętnych czasów są one takie same: jedni nie chcą istnienia państwa żydowskiego, a drudzy nie godzą się na jego terytorialną parcelację. Ramy tego przewlekłego konfliktu są od dziesiątków lat sztywno określone, a owa wojna, jeśli w ogóle skończy się przed końcem świata – to tylko przez osiągnięcie jednego z tych dwóch celów.

Tocząca się dziś wojna na Ukrainie należy do kategorii wojen dotąd trzymających się ram, podobnie jak wojna żydowsko-arabska, albo pierwsza wojna światowa, jeśli popatrzyć na nią z perspektywy poprzedzającej rozsadzający ramy rok 1917. Niedawno szef polskiej dyplomacji Radosław Sikorski dotychczasowy przebieg obecnej wojny opisał czterema prostymi konkluzjami. Powiedział: „Uważam, że Rosja w tej wojnie zagrała poniżej oczekiwań, Ukraina powyżej oczekiwań, Europa powyżej oczekiwań i Stany Zjednoczone powyżej oczekiwań”. Ta w sumie dość optymistyczna konkluzja jest trafna. Cała wiedza o „historycznym paradygmacie” Europy Wschodniej, jaką dysponowaliśmy w dniu 24 lutego 2022 roku, nakazywała bowiem spodziewać się, że Moskale tak czy inaczej podporządkują sobie Kijów, że państwo ukraińskie nie utrzyma suwerenności, że Europa okaże Ukraińcom współczucie, zaś Ameryka coś zrobi naprawdę, ale na tyle mało, że jednak nie ocali ukraińskiej suwerenności. Istotna korekta tej wiedzy nastąpiła dość prędko, już wiosną 2022 roku, gdy okazało się, że Kreml nie jest przygotowany na silny opór Ukraińców i rosnące dostawy zachodniej broni dla armii ukraińskiej, w związku z czym

będzie musiał (choćby na jakiś czas) zawiesić plan podporządkowania sobie Kijowa i skoncentrować się na długiej wojnie o opanowanie tzw. Noworosji, czyli południowo-wschodnich rubieży Ukrainy.

Tak naprawdę zatem, jedyną niespodzianką tej wojny jest fakt, iż po dwóch latach wojny Ukraina, ze swoimi demokratycznie wybranymi władzami, nadal istnieje. No i że dzięki Zachodowi ciągle jeszcze ma się jak bronić. Ale choć trudno przecenić polityczne i moralne znaczenie faktu istnienia i wojennej zdolności państwa ukraińskiego, nie jest to jednak fakt z gatunku takich, które rozsądzałyby ów znany dobrze „historyczny paradygmat”, w ramach którego wojna toczy się już trzeci rok. Wyznaczają go bowiem fundamentalne warunki geopolityczne, które - mimo korekty z wiosny 2022 roku – nie uległy dotąd zmianie.

Primo: Ukraina nie miała, nie ma i nie będzie mieć potencjału koniecznego do odparcia w pojedynkę moskiewskiej inwazji. *Secundo:* agresywny i kierujący się ideologią powtórnego „zbierania ziem ruskich” reżim na Kremlu jest mocny i stabilny, a wojnę wykorzystuje do dalszego umacniania i stabilizowania swej władzy nad Rosją. I *tertio:* Zachód nie był, nie jest i... (tu moment wahania) raczej nie będzie gotów militarnie zaangażować się w wojnę w takim stopniu, aby wyzwolić Ukrainę spod okupacji, a następnie zapewnić jej w całości militarne bezpieczeństwo.

Dlatego właśnie, wobec tak określonych ram, o perspektywie wojny trzeba, w jej rozpoczynającym się trzecim roku, powtarzać niestety to samo, co w roku pierwszym i drugim. To mianowicie, że wynik wojny, niezależnie od tego kiedy i w jakich okolicznościach mogłyby zostać przerwane działania wojenne, zdefiniowany zostanie przez dwa rudymtarne rozstrzygnięcia. To, jak znaczne połacie terytorium państwa ukraińskiego okupowane będą przez Moskwę w chwili

przerwania działań wojennych, oraz to, czy pozostała „reszta” terytorium zostanie objęta realnymi gwarancjami militarnymi Zachodu. Rozstrzygnięcie pierwsze – to czysto wojskowa kwestia aktualnej linii frontu, która w ciągu roku 2024 może okazać się nadzwyczaj trudna do utrzymania dla armii ukraińskiej. W dniu drugiej rocznicy wybuchu wojny przyznał to sam prezydent Zeleński: „Będziemy potrzebować odwagi i odporności, aby (ten rok) przetrwać”. Ale wobec różnicy potencjałów obu stron nie bardzo widać jakies przyszłe okoliczności, które by taki trend miały odmienić w latach następnych, o ile wojna pozycyjna miałaby być kontynuowana.

Rozstrzygnięcie drugie – to w istocie wisząca ciągle kwestia przyjęcia Ukrainy do NATO, co przed śmiercią postulował nawet Henry Kissinger, w imię dobrze rozumianego realizmu. Te wszystkie nagłaśniane przez Kijów dwustronne umowy z różnymi krajami zachodnimi, mające rzekomo coś Ukrainie „gwarantować”, są naprawdę warte tyle co nic. Ani Niemcy, ani Włosi nie ruszą przecież w efekcie tych umów na ratunek Ukrainie, nawet jeśli by groził jej całkowity upadek. Jak rozsądnie, ale i z pewnym patosem, powiedział ostatnio premier węgierski premierowi szwedzkiemu, w chwili gdy w końcu zezwolił Szwecji na wejście do sojuszu: „Tylko NATO oznacza, że jesteśmy odtąd gotowi za siebie nawzajem umierać”. Nic tu dodać, nic ująć; to jest właśnie to, co na dłuższą metę jest warunkiem sine qua non istnienia suwerennej Ukrainy. Ale zachodni sojusznicy akces Kijowa nadal odrzucają. Choć to jest ciągle ten jedyny, a zarazem kluczowy punkt, w którym zmiana stanowiska Zachodu jest w ogóle wyobrażalna, a tym samym owe dziejowe ramy, w jakich toczy się wojna, są tu właśnie najbardziej chybotliwe i możliwe do wyłamania. A to byłby już – jak to się współcześnie zwykło mawiać – „The Black Swan”, którego skutkiem byłby albo kompletnie nowy geopolityczny układ Europy Wschodniej, z

Moskwą odepchniętą gdzieś z pewnością co najmniej poza Dniepr (czyli jak w traktacie Grzymułtowskiego), albo też wybuch wielkiej wojny mocarstw o Ukrainę. Innej możliwości tutaj nie widać.

Cały kłopot w tym, że cele wojny formułowane przez przywództwo Ukrainy mają dziś luźny związek z rzeczywistością: pełna restytucja granic, trybunał karny dla Putina i zbrodniarzy wojennych, rosyjskie reparacje. Kijowski korespondent brytyjskiego „Guardiana” cytował w niedawnym reportażu ukraińskiego inteligenta-biznesmena, który na kijowskim Kreszczatiku otworzył dużą, nowoczesną i ponoć bardzo popularną księgarnię o nazwie „Sens”. Ów najwyraźniej wierzący w przyszłość swojego kraju młody Ukrainiec mówi angielskiemu dziennikarzowi wprost, iż: „ekipa Zełeńskiego od jakiegoś czasu popadła w myślenie magiczne”. W tym samym reportażu inny inteligent kijowski, tym razem robiący sporą karierę młody informatyk, wyraża myśl, która jest świadectwem politycznej przenikliwości. Mówi: „Aby to wszystko mogło się skończyć, Rosja musiałaby przestać istnieć w swej obecnej postaci, a to trudno sobie przecież wyobrazić”. To tylko przypuszczenie, ale podparte coraz mocniejszymi poszlakami: zdaje się, że ukraińska społeczna elita jest coraz bardziej świadoma sztywności dziejowych ram, w jakich toczy się wojna. O ile cele wojny, formułowane dziś w Kijowie, traktować dosłownie – to faktycznie świadczyłyby one o popadnięciu przywódcy w magię. Ale można też, i to całkiem dorzecznie, postawy Zełeńskiego bronić, uznając ją za nieco rozpaczliwą formę podtrzymywania morale rodaków oraz presji, czy nawet szantażu wobec zachodnich sojuszników. Tyle tylko, że wobec coraz bardziej widocznego rozmijania się tej postawy z rzeczywistością, trudno się dziwić, że ta presja coraz słabiej oddziałuje tak na samych Ukraińców, jak i tym bardziej – na przywódców Zachodu.

Jan Rokita